Rok II. Lwów, wtorek 5. maja 1908. Nr. 391.

GONIEC POLSKI

1 cent — 2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 11 przedpoł.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE:	NA PROWINCYI:
miesięcznie . . . . . 50 h	mies. z przes. poczt. . 1 K
„ z dostawą do domu 1 K	kwartalnie . . . . . . 3 K
numer pojedynczy . . 2 h	numer pojedynczy . . 4 h

NR. TELEFONU: 989. Zagranicą 2 franki miesięcznie z przesyłką pocztową. Sprzedaż pojedynczych numerów Podwale 7.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem. | Redakcya i Administracya Lwów Podwale 7 | Drobne ogłoszenia po 4 h od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenia 40 h.

Od wydawnictwa.

Po wielu przeszkodach i trudnościach, wolą złych ludzi spowodowanych, dobiliśmy nareszcie do upragnionego portu i z dniem dzisiejszym poczynamy *Gońca Polskiego* na przyszłość wydawać normalnie we własnej drukarni przy ulicy Podwale l. 7., gdzie też mieszczą się zarazem biura redakcyi i administracyi. Wprowadziliśmy zarazem to jeszcze ulepszenie, że *Goniec Polski* wychodzić będzie jeszcze wcześniej, niż dawniej, bo już o godzinie 11 rano.

Skompletowawszy nowy skład redakcyi z pracowników młodych, a wybitnie utalentowanych, starać się będziemy o to, aby wszelkie wiadomości i artykuły, jakie odtąd *Goniec Polski* będzie podawał, były obrobione starannie i estetycznie, by nie trąciły wstrętną prywatą, traktowały sprawy rzeczowo, a gdy do nich wypadnie nam przyłożyć skalpel krytycyzmu, to ten krytycyzm nie będzie omawiany z ciasnego stanowiska osobistego, ale ze stanowiska ogólno-narodowego i katolickiego.

Jak dotąd, tak i nadal, prowadzić będziemy walkę z żywiołami, które godzą na wiarę i narodowość polską, czy to wróg ten zwie się ukraińcą, czy socyalistą, czy żydem-syonistą. Pod tym względem nie znamy żadnych kompromisów ni dróg pośrednich, a gdy zadaniem „Gońca Polskiego“ jest uświadomić szerokie masy pod względem narodowym i narodowo-społecznym, więc też do tego ogółu szerokiego zwrócić się musimy i zwracamy doń o poparcie naszych uczciwych dążeń.

Nie jest naszem zadaniem rozwijanie szerokiego programu, lub dawanie z góry różnych przyrzeczeń, — niedotrzymywanych. Powiemy tylko tyle, że wydawnictwo „Gońca Polskiego“ nie jest obliczone na zyski. Idzie nam o to, aby szerokim masom podać codzienną strawę duchową zdrową, nie zatrutą jadem, ani nienawiści partyjnej, ani prywatą, ani wreszcie naszpikowaną sensacyą dla niej samej, a właściwie dla brudnego zysku.

Z tak czystym standarem pójdziemy w bój, ufni, że usiłowania te nasze poprą wszyscy ludzie dobrej woli, dla których nie jest czczym frazesem chęć pracy na niwie dobra publicznego pod hasłem „Bóg i Ojczyzna“.

Co dzień niesie?

Gdyby kto zapytał, jakie hasło, rozbrzmiewa teraz między naszym ludem w pobliżu pruskiej granicy, śmiało możnaby powiedzieć: „Do Prus na robotę“.

Zdaje się, jakaś kanikuła, czy obłęd wszystkich opanował; starzy, młodzi, niedorostki, począwszy od lat 10, matki z dziećmi przy piersi, wszystko to pędzi na oślep. Nie pomagają perswazye, na nic się nie zdają przypomnienia o sposobie traktowania robotników polskich, opartym na wymyślaniu i poniewierce.

— „Przez“ tego się nie obejdzie — odpowiadają — ale człek świata obaczy i grosza na zimę przyniesie.

Świata obaczy niewiele, tyle co z okna

Głowa trupa w lesie.



wagonu, potem, umieszczony w wiosce, nigdzie się nie rusza, nie może rozejrzeć się, często nawet nie wie, jak się wioska nazywa; w najbliższem mieście prawie nigdy nie bywa, świąt prócz niedzieli nie obserwuje. O kościele niema mowy, bo tak są spracowani przez cały tydzień, że w niedzielę chłopi pragną się wyspać, kobiety zaś zapominają o śnie, na gwałt piorą, szyją, żeby znów w poniedziałek stanąć do twardej pracy.

Wszystko to opowiadają w jesieni, na wiosnę zaś o tem zapominają; wiedzą tylko o zarobku, taniem kupnie szmat i zabawach w niedzielę.

Zarobek jednak nie przedstawla też wielkich korzyści. Co zarobią przez lato, przez zimę zjedzą. Przynoszą bowiem nieprzepartą chęć użycia, a co najgorsze zamiłowanie do gry w karty i pijaństwo.

Znamy małżeństwa wzorowe, silne, chłop w kraju próżnuje do obrzydliwości, kobieta przez całą zimę choruje, a gdy wiosna zawita uciekają do Prus. Jedno z takich małżeństw, pracując od 1-go grudnia zeszłego roku, zarobiło 300 marek, sumka pokaźna, prawie 400 koron. Przynieśli też nieco przyodziewku. Ale przez zimę wszystko zjedli, a na drogę musieli się zapożyczyć.

Pomijając zresztą stronę materyalną, warto się zastanowić nad stroną moralną. Wychodźcy nasi przynoszą z Prus obojętność co do religii i najzupełniejsze rozluźnienie obyczajów, nie przyswajają zaś sobie systematyczności w pracy, oszczędności, porządku, pracowitości i słowności, czem Niemcy się odznaczają.

Nie należy wszakże rozdzierać szat nad naszym ludem; mimo chorób, jakie przynoszą, życia nad miarę, mimo nawet pewnego skarłowacenia, jest tam podkład rozsądku i zdrowia, nad którym czuwając, możnaby go na właściwą drogę skierować. Ale... Ale trzeba oświaty, oświaty, oświaty, i jeszcze raz oświaty! Od warstw też inteligentnych, a pojmujących obywatelską działalność, zależy podjęcie w tym kierunku akcyi ratunkowej. Jeżeli nie z poczucia obywatelskiego, to przez wzgląd na własne dobro każdy i każda powinni się starać o podniesienie moralne ludu.

Obok oświaty trzeba koniecznie pomyśleć o przywiązaniu tej klasy do dóbr materyalnych. Zapłata jest już wygórowaną, niepodobna myśleć o jej zwiększaniu. Nie idzie też o uposażenie doraźne, lecz o umiejętne spożytkowanie zarobku, odłożenie na czarną godzinę i przyszłość niepewną.

Przywiązanie do jakiej takiej własności istnieje w każdym człowieku. Każdy dąży do posiadania czegoś wyłącznie dla siebie. Chcąc robotnika wiejskiego, czy służącą przywiązać do miejsca, prócz wskazywania mu dóbr duchowej natury, prócz krzewienia oświaty, należy koniecznie przyzwyczajać go do oszczędności.

Pożądanem więc byłoby, żeby przy umowie z robotnikiem, czy służbą, tak żeńską, jak męską, wymagać od nich złożenia pewnej części zarobku do kasy oszczędności, np. 2%, dając taką samą kwotę od siebie. Po niejakim czasie uzbiera się sumka, za którą robotnik czy służąca może sobie kupić cośkolwiek z dobytku, a powoli dojść do jakiejś własności. Własność, choćby to była tylko krowa, przywiąże go już do miejsca bodaj tem, że potrzebuje dozoru.

Z wzrastaniem własności w dobytku, wzrośnie chęć pozostawania na miejscu, z wzrastaniem oświaty zrozumienie własnego interesu, poczucie obowiązku, uczciwości i wiele innych cnót.

Rozumie się, że nie przyjdzie to odrazu, trzeba na to pracy lat całych. Ale praca ta umniejszy kłopotów tym, co po nas przyjdą, zapewniając zarazem rozwój intelektualny ludności roboczej i przysposabiając z nich obywateli krajowi.

Wszak przez lat tyle pracowano nad tem, aby było to, co dziś jest, aby zbierać chwasty i kąkole, warto więc pracować, aby w przyszłości kraj zbierał lepsze ziarno.

U nas i na świecie.

Nagła śmierć niemieckiego ministra rodaka Peschki wytworzyła nową sytuacyę;

nowe kłopoty dla rządu.

Peszka posiadał bowiem znaczny wpływ w kołach posłów niemieckich i niejednokrotnie wzywał ich do umiarkowania i doprowadzał do porozumienia. Jego śmierć stanowi obecnie dla rządu stratę tem dotkliwszą, albowiem teraz w radzie ministrów nastąpić mają narady w sprawie ustawy językowej, a od porozumienia już w łonie samego gabinetu zależeć ma los całej sprawy i wyjaśnienie sytuacyi politycznej. Znalezienie następcy po Peschce również znaczne przedstawiać będzie trudności. Nikt zapewne nie zechce przyjąć tego stanowiska przed zupełnem wyjaśnieniem sytuacyi. Jako kandydatów wymieniają posłów dra Pergelta i dra Urbana. Wymieniają także dra Sylwestra, ale kandydaturę jego zwalcza część posłów niemieckich, dlatego, że Sylwester nie jest posłem z Czech.

Z rozmaitych stron Galicyi wschodniej nadchodzą coraz bardziej niepokojące wieści o

prowokacyach ukraińców,

których zachowanie się jest wogóle tego rodzaju, że może doprowadzić do zupełnej anarchii. A obawy w tym kierunku istnieją, jak świadczy np. ostatni wypadek w Hnilczu. Oddawna już wzbierała tam nienawiść ludności ruskiej i objawiała się wystąpowaniem przeciwko rzym. kat. proboszczowi, ks. Rymarczykowi, za którego staraniem ludność polska dźwignęła się pod względem moralnym i narodowym, i którego zapobiegliwości zawdzięczać trzeba, że nabyto realność dla szkółki polskiej, która dotąd mieściła się w bardzo niewygodnej izbie mieszkalnej. Pogróżki hajdamackie spełniły się we wtorek po świętach wielkanocnych. Około godziny 10 w nocy

ręka zbrodnicza wzniecila pożar,

którego pastwą padł budynek wynajęty, mieszczący szkołę polską. Ogień wybuchł nad drzwiami, wzniecony od płomienia zapałki i w krótkim czasie objął cały dach budynku. Tylko poświęceniu wieśniaków polskich zawdzięczać należy, że uratowano sprzęty szkolne i ograniczono stratę do budynku, który był zabezpieczony w asekuracyi krakowskiej. Zbrodniarz miał za-

Ogniowa próba.

Nowelka.

(Z niemieckiego tłómaczyła Z. S.).

Na gruncie więc nudów i pewnego niezadowolenia wyrosła ta serdeczna przyjaźń dla Windlera. Czasem przyspieszyła ona Lorci bicie serduszka, czasem wywoływała rumieniec, lub przejmowała ją nieznaną jakąś trwogą, tęsknotą.... Było to w każdym razie lepsze niż nudy.

— Powiem dziś stanowczo, że nie, że się to raz skończyć musi... — powtarza sobie tę myśl raz jeszcze, a jednocześnie powstaje inna, która Lorcię nieraz w ostatnich dniach prześladuje. Widzi w wyobraźni siebie przebiegającą szybko schody obcego domu. Pociągało ją to niebezpieczeństwo; choć na chwilę przerwałoby ono jednostajność codziennego życia.

— Zawsze będę miała czas na to — kończy swoje rozmyślania, gdy w tem słyszy dobrze znane kroki i Piotr wpada z rozpromienioną twarzą do jej pokoju.

— Nie oczekiwałaś mnie, Lorciu, prawda? — pyta — przychodzę o całe dwie godziny wcześniej, niż zwykle. Cóż to? robisz minkę jakbyś była niezadowolona...

— Ależ zdaje ci się — odpowiada Lorcia i odraca się do okna.

— Nie cieszysz się już, że idziemy do teatru?

— Cieszę się, żeś tak wcześnie przyszedł, ale do teatru, to... to... wolałabym nie chodzić wcale.

— Ależ Lorciu, dlaczego?

Lorcia, milcząc, wygląda przez okno.

— Wczoraj, gdy przyniosłem bilety, ucieszyłaś się jak dziecko. Zawsze skarzysz się, że tak rzadko bywamy w teatrze, a dziś?

— Dziś głowa mnie boli, ale to nic, Piotrze, nic... przestanie i pójdziemy.

— Tak to rozumiem, to mi się podoba. Rzeczywiście wyglądasz trochę zmęczona. Zanadto kazałaś tu napalić, chodź do mnie, tam chłodniej.

I nie czekając odpowiedzi, porwał żoneczkę na ręce i jak małe dziecko zaniósł do swego pokoju.

— Teraz, moje maleństwo, siadaj tu przy mnie. Opowiem ci dlaczego tak wcześnie przyszedłem. Trzeba ci wiedzieć, że od dzisiaj zawsze tak będzie. Dopiąłem celu, roboty poszły świetnie, zarobiłem więcej, niż sobie obiecywałem. Mogę teraz pozwolić sobie na zbytki.

Lorcia z uciechy i zdziwienia nie mogła wcale mówić.

Głaskał czule jej włosy, przytulał ją do serca, pieścił i w serduszku Lorci zapanował błogi spokój i zdawało jej się, że mąż jej nigdy jeszcze nie był tak miłym i dobrym dla niej.

— Widowisko zaczynało się o 7-mej. Kwadrans przedtem Lorcia była gotowa i dreptała przez ulicę przy boku męża. Ślisko była bardzo, musiała więc silnie oprzeć się na jego ramieniu.

Dochodząc do przedsionka, usłyszała za sobą szybkie kroki i cicho, nad samem uszkiem, rzucone słowa: „Zaraz przyjdę“.

Wykwintnie ubrany wysoki, zręczny młody człowiek przebiegł koło nich. Nie odwróciła głowy; spojrzała na męża, nic nic nie słyszał.

Zajęli miejsca w drugiej loży od sceny. Z krzeseł i z lóż naprzeciwko skierowały się lornetki na Lorcię, która, rozbawiona, śmiejąca się, cudnie wyglądała w białej jedwabnej sukni. Piotr nachylił się ku młodej żonie.

— Wyglądasz jak marzenie — szepnął — patrz, jak wszyscy przyglądają się tobie, prawda, że ci to przyjemność sprawia?

— Ależ Piotrze, co ci też do głowy przychodzi?

— No, nie udawaj niewiniątka, Lorciu. I dlaczegóżby ci to nie miało sprawiać przyjemności? Tylko, że ja, doprawdy będę zazdrosny.

— Co, ty zazdrosny?

— Tak, ja. O wszystkich, starych i młodych... Nie, nie duzko, ja wiem, że to niedorzeczność i tylko żartuję. Ach, Lorciu moja, jaki ja jestem szczęśliwy, że mam ciebie i że ty mnie kochasz.

Lorcia chciała rozmowę zwrócić na inny przedmiot.

— Widzisz, Piotrze, tę blondyneczkę naprzeciwko, prawda jaka ładna?

— A widzę, widzę — odpowiedział Piotr, szukając czegoś po kieszeniach.

— Zostawię cię na chwilkę, Lorciu — dodał — zapomniałem w domu lornetnę, pobiegnę po nią.

— Zostań, dam ci moją, zaraz się zacznie.

Ale Piotr nie słucha i Lorcia z przerażeniem widzi zamykające się drzwi loży. Za chwilę otwierają się one po cichu, ostrożnie i ktoś za nią siada. Lorcia nie odwraca się, patrzy na kurtynę.

— Spotkałem Petersena na schodach,

miar zniszczyć cały dorobek polski. Dom ten należy do p. Elżbiety Sługockiej, która mieszkała tam wraz ze swym sparaliżowanym mężem. Oboje zaledwie uszli z życiem. Sąsiadce p. Niżankowskiej, spaliła się stajnia i lamus ze znacznymi zapasami. Najwidoczniej chodziło tutaj o puszczenie z dymem całej polskiej części wsi.

Równocześnie donosi Biuro prasowo-informacyjne Rady narodowej o innych niepokojących objawach. W Horodence przez ruskie święta gromada ukraińców śpiewała głośno na dworcu: „Nasz Siczyński naj żyje, a Potocki naj hnyje“! W Strzylczu, gdzie widnieje (za wiadomością parocha) na cerkwi napis obelżywy przeciw wójtowi, sprzyjającemu Polakom, napisano: „Byjte Lachiw“. Poseł Leszek Cieński otrzymał

dwa wyroki śmierci,

jeżeli się odważy wyjść na pole. Kiedy zaś ks. Dymitr Dworzanin wzywał w swojej cerkwi ludność do poszanowania prawa i do zgody, tej samej nocy zasmarowano całe jego mieszkanie mazią. Wogóle z wielu objawów okazuje się, że istnieje jakaś tajna organizacya celem dyskredytowania wszelkich podstaw moralnych i prawnych istniejącego porządku.

Hakata nie ustaje w wymyślaniu coraz to nowych represyi względem Polaków. Po ustawie wywłaszczającej i uchwaleniu zakazu używania języka polskiego, zabrano się teraz

nawet do grobów polskich!

Mianowicie *Wiarus Polski* donosi, że połączone rady miejskie gmin Herne, Bankau i Hortshausen (w Westfalii) uchwaliły „porządek pogrzebowy“, zakazujący umieszczania napisów polskich na grobach polskich.

W prasie coraz częściej pojawiają się głosy o możliwej

wojnie Chin z Japonią.

Bojkot towarów japońskich w Chinach rozszerzył się z niebywałą gwałtownością i objął najważniejsze miasta handlowe południowych Chin. Bojkotowi podlegają okręty japońskie, a banki i domy handlowe odsyłają pieniądze i czeki japońskie. Japonia, która przechodzi przez przesilenie ekonomiczne, nie jest w stanie długo znosić bojkot, który zadaje jej śmiertelne ciosy, a że rząd chiński nie ma możności przeciwdziałania bojkotowi, Japonia więc może być zmuszona do czynnego wystąpienia. Oczekiwana śmierć cesarzowej chińskiej wywoła zapewne zamieszki dynastyczne, co jeszcze więcej skomplikuje sytuacyę. Wówczas zechce Japonia rozpocząć decydujące kroki.

Pisma rosyjskie zwracają uwagę na objaw

składania mandatów

przez posłów w Dumie w ostatnich czasach. Dwóch z nich już zrzekło się godności poselskiej, a krążą pogłoski, że w ich ślady ma zamiar pójść cały szereg innych. Jako na przyczynę takiej ucieczki, wskazują pisma rosyjskie na zbyt małe wynagrodzenia, wyznaczone dla posłów Izby niższej. Dużo jest posłów, którzy muszą zarabiać na życie i zajmują różne stanowiska. Praca w Dumie zaś pozbawia ich tych stanowisk, a z dyet poselskich utrzymać się nie mogą. Skutkiem tego nawet niektórym posłom wyborcy ich wyznaczyli sami dodatki do dyet. Tak np. baronowi Meyendorfowi, wice-prezesowi Dumy, wyborcy płacą po 25 rb. dziennie z własnych środków. Tylko bowiem pod tym warunkiem zgodził się baron Meyendorf na przyjęcie mandatu. Poseł z Irkucka też ma zapewnione przez wyborców dodatki do dyet. W obec tego, że członkowie Rady Państwa za znacznie mniejszą pracę biorą półtrzecia razy tyle, co członkowie Dumy, pisma nawołują rząd do zrównania dyet poselskich.

Rocznica Konstytucyi Trzeciego Maja.

Tegoroczny obchód rocznicy wiekopomnej Konstytucyi Trzeciego Maja, obchodzonej przez stolicę kraju od szeregu lat z wielką uroczystością, wypadł jeszcze piękniej, niż zazwyczaj, albowiem zjednoczył wszystkich mieszkańców naszego grodu, przyznających się do zaszczytnego, a tak drogiego miana Polaka, w uczczeniu tej najpromieniejszej chwili dziejów naszych z czasów przedrozbiorowych.

Miasto już w sobotę po południu przywdziało strój odświętny. Ze szczytów gmachów instytucyi i licznych kamienic powiewały flagi o barwach narodowych, a w oknach widziało się nalepki T. S. L. i sokole. Na ulicach w sobotę i wczoraj krążyły tłumy mieszkańców z kokardkami, na piersiach przypiętemi.

Uroczystości rozpoczęły się

przedstawieniem w teatrze,

gdzie w sobotę po południu wobec szczelnie zapełnionej widowni odegrali artyści „Kościuszkę pod Racławicami“, oraz

uroczystym wieczorem

w ratuszu i Gwieździe. Pierwszy wieczór, na który złożyły się śpiewy, wykonane przez chór akademicki, deklamacya znakomitej artystki p. Siemaszkowej zagaił p. Jan Kasprowicz. Wieczór zaś w Gwieździe, którego najważniejszym punktem był obraz sceniczny „Wóz Grzymały“ zakończony żywym obrazem przedstawiającym „wóz“ broniony przez kosynierów, otworzył przemówieniem wstępnem wiceprezydent Rutowski.

Wczorajszy dzień rozpoczęło

zebranie na kopcu unii,

gdzie o godzinie piątej z rana zgromadziły się liczne zastępy młodzieży, aby po wywieszeniu flagi wysłuchać trzech przemówień i odśpiewać pieśni patryotyczne. Część uczestników tego zebrania udała się do miasta pochodem, część zaś podążyła na wieżę ratuszową, gdzie o godzinie 6-ej członkowie orkiestry teatralnej odegrali

hejnał.

Równocześnie na ulicach miasta pojawiły się kapela czwartaków i kapela narodowa, które swą

pobudką

przypominały śpiącemu jeszcze miastu, święty obowiązek.

O godzinie dziewiątej rano odprawił

---

jakże się to szczęśliwie składa, droga moja!

Lorcia milczy, nie odwracając oczu od kurtyny.

— Przyjdź Lauro, błagam! Prawda że przyjdziesz? O, nie mów nie... powiedz tak. Jutro o 12-tej, albo o której chcesz. Będę czekał cały dzień... Przyjdziesz ukochana?

— Napiszę panu — odpowiada drżąca Lorcia, nie mając odwagi mówić z nim.

— Dlaczego nie chcesz powiedzieć teraz? Odwagi, powiedz: tak.

— Mąż mój zaraz wróci. Idź pan.

Aha, a więc go się bała, drżała pod jego wzrokiem, ta uroczo piękna młodziutka kobieta. Teraz nie należało dawać jej czasu do namysłu, teraz miał ją już w swej mocy.

— Powiedz, powiedz tak, droga moja, ubóstwiona.., I czegoż się boisz? O, nie znasz mnie jeszcze, ukochana, wystaw mnie na jaką chcesz próbę... ja w ogień pójdę za tobą!

Ona nie odpowiada. Kurczowo wpiła palce w obity aksamitem parapet loży, wachlarz spadł z jej kolan. Ze wszystkich stron skierowały się na nią oczy, ona tego nie widziała. Widziała tylko tam, za kurtyną, światło, nie światło a płomień, który na chwilę przytłumiony, wybuchł na nowo. Nagle zeskoczyła z krzesła i zapytała siedzącego za nią Windlera:

— Czyś pan widział?

— Co takiego? na miłość Boską!

— Ogień! tam za kurtyną, na scenie.

— Cóż znowu, to są próby z elektrycznem światłem. Nie bądźże dzieckiem, droga...

Widząc, że Lorcia chce wyjść, zagrodził jej drogę sobą.

— Ja chcę wyjść, puść mnie pan, chcę wyjść!

Ostatnie słowa wymówiła tak głośno, że odstąpił trochę, ale próbował jeszcze ją zatrzymać.

— Lauro, zaklinam cię!

— Nie nazywaj mnie pan tak, zabraniam panu.

Uchwycił ją za obie ręce, wyrwała mu je. W około nich zrobiło się cicho; najbliżej siedzący, w przewidywaniu jakiejś dramatycznej scenki, nie odrywali oczu od spierającej się pary.

Naraz przez całą salę powionął straszny, gorący wicher. Słychać było niezwykły szum, świt za kurtyną, która wydęła się jak żagiel, ale nie podniosła. Przez wąską, długą szczelinę sypnął grad iskier, jakby najwspanialszy fajerwerk, i przeleciał ponad głowami muzykantów. Pojedyncze iskry dostały się aż do lóż i dalszych krzeseł.

Z najwyższej galeryi odezwały się brawa; myślano, że ten pyszny fajerwerk jest niespodzianką w nowej sztuce.

Lorcia wiedziała, że to nie był fajerwerk, ona wiedziała, że to był — ogień! Teatr się pali, a ten głupi tłum gapi się i czeka, na co?

Lorcia zapomniała zupełnie o obecności natrętnego mężczyzny, a wychyliwszy się za parapet loży, z całych sił krzyknęła: „Ogień!“ Głos jej przygłuszył szmery i przedostał się do najdalszych miejsc.

— Siedzieć spokojnie! — dały się słyszeć uspakające nawoływania.

— Ogień! — krzyknęła znów Lorcia i drżąca, na wpół zemdlona, upadła na krzesło. Po chwili spojrzała wokoło siebie, pana Artura już nie było.

Ogień począł się szerzyć. Ze sceny żar buchnął jak z pieca. Kurtyna, raz jeszcze, jak olbrzymi żagiel strasznego okrętu zniszczenia, wydęła się i podniosła. Z pod niej, z ponad niej, z boków ze wszystkich szczelin, po przez najmniejszą szparę, sypały się iskry i wysuwały płomienie, a wzmagając się, sycząc, rozbiegały się na wszystkie strony, pełzając jak węże ogniste po ludzkich głowach, chłonąc, zabierając wszystko!

Obiema rączkami szukała Lorcia drzwi loży, duszący dym tamował jej oddech. Boże, gdzież są te drzwi, gdzież klamka? Bez oddechu, z szeroko otwartemi ustami, z zamierającem sercem, uderzała rączkami w ciemności. Wtem, czy jej się zdaje? — nie, to Piotra głos: — Lorciu, Lorciu! — woła, ale głuszą go jęki i wycia jakby dzikich zwierząt. — Naraz, drzwi otwierają się z trzaskiem, czuje się pochwyconą w silne ramiona, niesioną, gdzie? Jęki słyszy teraz tak wyraźnie, tuż tuż, i jakby chrapania, rzężenia. — Trzymaj się mnie mocno, — mówi Piotr — zamknij oczy i usta! — Zapalił zapałkę. Lorcia opasała mu szyję rączkami, ale oczy, mimowolnie, co chwila otwierała. Piekielne jakieś dźwięki zmuszały ją do tego, i niewyraźnie w ciemności widziała olbrzymie sterty ciał ludzkich, straszne, okropne... Piotr chwiał się przy każdym kroku. Lorci zdawało się, że się ta droga nigdy nie skończy. Było jej tak słabo, coraz słabiej, słabiej... Wszystko kręciło się wkoło niej,

ks. arcybiskup Bilczewski w asystencyi licznego duchowieństwa uroczystą mszę św.

w katedrze.

Na nabożeństwie tem zakończonem, podniosłem kazaniem ks. Ciemniewskiego zgromadziły się tysiące publiczności, z marszałkiem kraju, reprezentacyą miasta delegacyami i młodzieżą.

Po nabożeństwie udali się wszyscy na

mszę polową

na boisku sokolem pod parkiem łyczakowskim, gdzie przy ołtarzu, ustawionym pod purpurowym namiotem odprawił mszę św. ks. biskup Bandurski. Po kazaniu wygłoszonem przez ks. Dzięzielewicza, ruszył

kilkutysięczny pochód,

do miasta, pochód w którym nie brakło nikogo, bo sokolstwa, straży chotniczej, delegacyj towarzystw, młodzieży, członków rady miejskiej. Długi ten, a barwny pochód, to szary od czamar sokolstwa, to znaczący się granatem mundurków młodzieży szkół średnich, to znowu mieniący się kolorami sukienek dziewcząt szkolnych, jaskrawemi barwami sukman i chustek ludu wiejskiego, purpurą i bielą adamaszków strojów szlacheckich, wreszcie czerniący się strojami członków rady miejskiej i publiczności, posuwał się poważnie aż

pod kolumnę wieszcza,

by tu cześć oedać geniuszowi narodu, wpatrzyć się z odkrytą głową w spiżowy wizerunek jego.

Po południu odbyła się

zabawa na kopcu

która mimo niepogody zgromadziła tam wiele publiczności, poczem odbyły się jeszcze

wieczory

w Sokole i Gwieździe.

---

potem oddalało, znikało, znikało, znikało... aż znikło zupełnie...

Gdzież jest? Dochodzi ją jakiś zgiełk, hałas, ale jakiś inny. I nie czuje już duszącego dymu, i nie widzi trupów, i nie słyszy jęków i wycia. Owiewa ją mroźne, orzeźwiające powietrze, ponad sobą widzi błyszczące gwiazdy... Uratowana!

Oparty o słup latarni stoi Piotr i oddycha ciężko. Gęste, na wpół opalone włosy, w nieładzie spadają mu na okopcone czoło. Jest prawie z sił wyczerpany, ale kiedy otworzył oczy i spotkał spojrzenie żony, z piersi jego wydarł się okrzyk nadziemskiego szczęścia i nowych sił mu przybyło.

O, jakże jej dobrze spoczywać w jego objęciu, przy jego sercu!

I spokój, szczęście, tego oto człowieka, który z narażeniem własnego życia drugi raz od śmierci ją ratuje, ona mogła, choć na jedną chwilkę, narazić dla tamtego... tchórza! Rumieniec wstydu oblewa jej twarzyczkę, brzydzi się sama sobą w tej chwili.

Piotr już odpoczął, wyprostował się, wycisnął gorący pocałunek na czole żony i odniósł ją do swego domu, dumny, szczęśliwy, że skarb swój odzyskał. A tłum rozstępował się przed nim i patrzył nań z podziwem.

KONIEC.

List reportera.

(Kto będzie w Panteonie hajdamackim? — Żałuję, że nie uczymy się po hajdamacku, chociaż podręczniki do nauki kosztują tanio. bo tylko 1 markę berlińską).

Jeżeli wszelkie pozory nie mylą, to Mirosław Siczyński dostanie się nietylko na szubienicę ale i do Panteonu. Naturalnie hajdamackiego, gdzie będą „moszczy“ jego wystawione obok moszczow Gonty, Żeleźniaka i Neczyperowicza. Czy Szan. Redakcya wie, co to są: m o s z c z y? To nie są takie moszcze n. p. winne; które się pije, tylko takie, które kat ze szubienicy ściąga. Mówią, że ks. metropolita z prywatnych swoich funduszów dał już pewną snmę na zbudowanie tego Panteonu.

Do Panteonu zaś dostanie się Siczyński za zbiór poezyi hajdamackich, które wydał pod swojem nazwiskiem jeszcze przed dziesięciu laty i które, jak zapewnia jedno z pism tutejszych, w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozeszły się między „wsie narod hajdamackij“. Jakiemi drogami szły i rozeszły się, tego nie wiem ani ja, ani nawet policya, która, jak mówią, powinna wiedzieć o wszystkim. Także i to wydaje mi się szczególnem, że policya „hatrzy“ pierwszego lepszego roznosiela *„Gońca polskiego“*, a przez dziesięć lat nie widziała i nie „zahatrzyła“ kolporterów „Pisnyj Siczyńskoho“. Gdyby jednego takiego była przycupiła, byłaby się nauczyła trochę literatury hajdamackiej, bodaj z okładki.

Ja przyznaję, że gdybym był nawet dyrektorem policyi, tobym tych poezyi nie czytał, ale w każdym razie ot, z ciekawości, kazałbym sobie przez fachowego znawcę odczytać bodaj tytuły tych pieśni, adresowanych przeważnie do pana Potockiego. Znając tytuły pieśni, może byłbym się samą ich treścią więcej zainteresował i może byłbym był rad poznać bliżej ich wydawcę. A poznawszy, byłbym sobie jego nazwisko dobrze zakonotował w pamięci. I kiedy Siczyński zgłosił się na audyencyę do Potockiego „w sprawie osobistej“ byłbym się szanownego wydawcę pieśni hajdamackich zapytał, czy nie chce prosić hrabiego namiestnika o zasiłek na nowe wydanie?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że łatwiejszą jest rzeczą ściganie smarkaczów roznoszących jawnie pisma, drukowane w uczciwym, dla każdego zrozumiałym języku, od studyowania literatury, drukowanej czcionkami, które w Europie dawno już zakazano. Ja też od nikogo tego nie wymagam. Ale jako miłośnik literatury wogóle, kazałbym był sobie przełożyć owe zakazane pismo na pismo ludzkie, a przeczytawszy, nie doduściłbym pewno do nieludzkiego czynu Si-czyńskiego.

Urywam na teraz, bo idę właśnie po antykwarzach i bibliotekarzach szukać pieśni Siczyńskiego w oryginale. Przy tej sposobności chciałbym się też dowiedzieć, ile taka książeczka kosztuje. Mówiono mi, że egzemplarz dostanie za 1 markę pruską, berlińską. Muszę to sprawdzić. Idę.

Wasz reporter.

Morderca kobiet.

Donosiliśmy przed kilku dniami o niesłychanym zbrodniarzu, który własną żonę zabił, poćwiartował, a następnie poodrębywane członki trupa upiekł w piecu. Zbrodniarz ten, Ludwik Koch, z zawodu koszykarz, ma jednak, jak już wykazało wstępne śledztwo, cały szereg morderstw na sumieniu. Jest to zdaje się, nowy Sinobrody w nowem wydaniu.

Koch, po aresztowaniu, odstawiony został do aresztów w Weimarze. Już na trzeci dzień jednak zarządzono przesłuchanie go na miejscu zbrodni w Groewenstadt. Wobec oczywistych dowodów jego winy, Koch przyznał się do morderstwa i opisał dokładnie zwierzęcy sposób pastwienia się nad trupem.

W dalszym ciągu śledztwa okazało się że Koch miał już trzy żony i że wszystkie zmarły w zagadkowy sposób. Przewieziono więc Kocha do Obendorf, gdzie przedtem mieszkał i przedsięwzięto badanie ogrodu, otaczającego dotyczący dom. Poszukiwania wydały nieoczekiwany rezultat. Znaleziono tam zakopanego trupa, a raczej część trupa, kilka żeber i cały stos pacierzowy. Jak się przekonano, są to zwłoki drugiej żony Kocha. Zbrodniarz, mimo oczywistych dowodów, stanowczo zapierał się winy.

Kiedy go przewożono z powrotem do aresztów, spotkano na drodze jego syna, który, wiedząc o zbrodniach ojca, wpadł w taki szał, że chciał się rzucić nań i chyba śmierć mu zadać. Na stacyi Apolda zobaczył ojca drugi syn Kocha, robotnik kolejowy, który na widok zbrodniarza zemdlał. To wszystko nie pozostało bez wrażenia.

Koch wieczorem już przyznał się do zamordowania drugiej żony. Ponieważ jednak wyszło na jaw, że i pierwsza żona Kocha, oraz jego najstarszy ślepy syn zmarli wśród tajemniczych okoliczności, zarządzono śledztwo i w kierunku trzeciego morderstwa.

Koch, człowiek 64 letni. wywierał jednak na kobiety nieopisany wpływ. Dość wspomnieć, że już na drugi dzień po zamordowaniu trzeciej żony miał ugodzoną nową gospodynię, którą czekał ten sam los, co i jej poprzedniczki. Na szczęście zbrodniarzowi powinęła się noga. Sprawca tych niesłychanych zbrodni, popełnionych z wyrafinowanem okrucieństwem, stanowi obecnie sensacyę w całej Turyngii.

Zatonięcie parowca.

W porcie szwedzkim Guthenburg wydarzyła się jedyna w swym rodzaju katostrofa skutkiem przewrócenia się parowca „Götha Elf“, przewożącego ładunki i pasażerów. W dniu krytycznym na pokładzie znajdowało się wielu wieśniaków, powracających do domu z jarmarku w Guthenburg; ponadto okręt wiózł ładunek, składający się ze skrzyń, worków, beczek itd., który był większy, niż zwykle, a w dodatku umieszczony prawie bez wyjątku na całej długości pokładu.

Pasażerowie, których liczba nie jest dokładnie ustalona, prawdopodobnie około 40 do 50 osób, znajdowali się na środkowym pokładzie i w salonie, mieszczącym się pod tylną częścią pokładu, przeważnie jednak na górnym pokładzie. Zaraz po odbiciu od lądu, przechylił się parowiec na lewy bok i zaczął tonąć, przyczem ładunek, znajdujący się na przedniej i tylnej części pokładu zsunął się, a spiętrzone na środkowym pokładzie rzeczy runęły w wodę. Podobnie wpadły do wody wszystkie stojące na pokładzie osoby, między niemi kapitan okrętu.

Szczęściem w nieszczęściu było, że woda na miejscu wypadku jest niezbyt

głęboka, tak, że prawie trzecia część okrętu, całkiem na bok przechylonego, wystawała z wody. W ten sposób, po wdarciu się wody do wnętrza, pozostało tyle wolnego miejsca, że większą część znajdujących się tam pasażerów i załogi okrętowej można było uratować. Również pomyślną okolicznością było to, że katastrofa nastąpiła w czasie, kiedy ruch w porcie jest zwykle najbardziej ożywiony. To też załogi wielu małych parowców pospieszyły natychmiast na ratunek i ich głównie usiłowaniom zawdzięczyć należy ocalenie wielu ludzi. Nadto pospieszyli z pomocą ludzie z lądu, niosąc ratunek tonącym zapomocą drągów, lin itp., tudzież przywracając do życia wyciągniętych z wody.

W najgorszem położeniu byli pasażerowie, którzy znajdowali się w tylnym salonie, tudzież żeński personal restauracyjny. Do obu tych obikacyi zrobiono dostęp przez rozwalenie ściany okrętowej, a stało się to w samą porę, gdyż właśnie dawał się już odczuwać brak powietrza do oddechania.

Liczba ofiar wynosi dotychczas 11; z tych 4 osoby utonęły wewnątrz okrętu. Pewną liczbę osób, poranionych przez przewracające się przedmioty, przeniesiono do szpitala. Badanie przyczyny tego strasznego nieszczęścia odbywa się z wielką ścisłością. Powszechnie przypuszczają, że do wywołania katastrofy przyczyniło się zbytnie obładowanie pokładu, co naruszyło równowagę okrętu.

„Towarzysze“ w roli morderców.

Członkowie partyi socyalno-demokracznej, która przy każdej sposobności, jaka się jej tylko nastręczy, tak hojnie, rzuca frazesami na temat „równości“, „swobody przekonań“ i „wolności postępowania“, złożyli w nocy z piątku na sobotę, tj. w noc po „święcie robotniczem“ najlepszy dowód, że wszystko to, co głoszą na temat praw obywatelskich w odniesieniu do obywateli, nie zgadzających się z ich programem politycznym jest wierutnem kłamstwem, podobnie jak cała ich „działalność uświadamiająca klasy robotnicze“.

Że „partya“ składa się przeważnie z osobników, z którymi w porządnem społeczeństwie nikt się nie liczy, wiedzieliśmy już dawno, a obecnie przekonaliśmy się jeszcze o jednym rysie charakteryzującym te zgraje, o zaniku wszelkiego poczucia moralności, które, pozwala im bez żadnego skrupułu mordować ludzi, ot tak dla zabawki.

Nowy ten rys stawia naszą „partyę“ na równym poziomie, jeżeli nie ze zwierzętami, to już w najlepszym razie z ludźmi, nie mającymi żadnej kultury, a tem mniej nie mogącymi rościć sobie pretensyi do miana krzewicieli „kultury“ wśród mas robotniczych.

Zaprzeczyć temu nie można żadną miarą wobec faktu, jaki w nocy z piątku na sobotę zdarzył się w naszem mieście:

Oto na Jana Chemicza, woźnicę zatrudnionego u p. Rozalii Tychowskiej napadło w nocy, gdy wychodził z szynku u zbiegu ulic św. Marcina i Tkackiej sześciu drabów, i wtem dwu z odznakami partyjnych ordnerów, i literalnie w oczach publiczności zamordowali go w sposób bestyalski, bo gdy jeden z nich pchnął go śmiertelnie nożem pod serce, pozostali poczęli go bić i kopać, aż pod razami ich ducha wyzionął.

Wkroczyła w to policya i aresztowała jeszcze w ciągu nocy czterech mniej winnych, natomiast dwu najwinniejszych jeszcze nie przytrzymano. Wszyscy są robotnikami z Zamarstynowa i towarzyszami.

Fakt ten nasuwa garść refleksyi, z których dwie przedewszystkiem wybijają się na pierwszy plan.

Raz już trzeba skończyć z tą bandą, międzynarodowych rycerzy przemysłu, co jadem zepsucia zatruwają społeczeństwo nasze, a drugie, raz już należy się postarać oto, by Zamarstynów, który dziś stanowi odrębną gminę nie był asylem dla złodziei i morderców.

Zamach na policyanta.

Plac Maryacki, to serce naszego miasta, był wczoraj po godzinie ósmej wieczorem widownią, tragicznego zajścia, jakiego, kronika lwowska jeszcze nie miała.

Oto w oczach tłumów przechadzającej się publiczności padł

policyant śmiertelnie raniony

dwoma strzałami z rewolweru, przez aresztowanego awanturnika, którego odprowadzał na inspekcyę policyi.

Zbrodniarzem owym jest Bazyli Zalawski, długoletni maszynista w jednym z pierwszorzędnych zakładów kąpielowych, którego na skutek wezwania właściciela szynku „Pod Sroką“ położonego w kamienicy naprzeciwko gmachu sądowego, u wylotu ul. Szymona do ulicy Batorego, aresztował za awanturę agent policyi i polecił go odprowadzić przybyłemu na wezwanie kapralowi policyi Michałowi Szpakowi.

Po aresztowaniu Zalawski chciał

uciec kapralowi

eszcze w ul. Batorego, ale Szpak zdołał go przytrzymać, w bramie jednej z kamienic. Skutkiem tego Szpak, by zapobiedz, na przyszłość wymknięciu się aresztanta z rąk jego prowadził Zalewskiego, trzymając go

za barki,

czemu oczywiście Zalawski wciąż opierał się. Dopiero, gdy jacyś dwaj panowie wytłumaczyli mu, że lepiej zrobi, jeżeli nie będzie

stawiać się do kaprala

Zalawski uspokoił się i obiecał, że pójdzie spokojnie, lecz zażądał, by kapral

puścił go.

Szpak uczynił to, a wówczas

Zalawski dobył z kieszeni rewolweru

i wystrzelił do idącego obok niego Szpaka, który poczuwszy uderzenie w piersi, dobył z pochwy pałasza. Lecz skorzystał z tej chwili Zalawski i odszedłszy od kaprala ze cztery kroki

strzelił do niego po raz drugi.

Wówczas kapral runął na ziemię. Zalawski zaś rzucił się do ucieczki, co jednakże nie uratowało go, albowiem, policyanci którzy nadbiegli z pobliskich posterunków zaalarmowani strzałami, przychwycili go przy pomocy publiczności. Szpaka przewieziono na stacyę ratunkową.

Tu skonstatowano iż

jedna kula ugrzęzła pod sercem

a druga, zraniła go w prawy łokieć, opatrzono go więc i przewieziono do szpitala garnizowego, gdzie po przesłuchaniu został opatrzony św. sakramentami. Przez noc zdołano go utrzymać przy życiu.

Zalawski sprowadzony na inspekcyę policyjną nie chciał zrazu nic mówić, ale gdy lekarz policyjny zbadał stan jego trzeźwości, przyznał się do zbrodni.

Zalawski jest rusinem, liczy 46 lat, ma żonę i troje dzieci.

KRONIKA.

Kalendarzyk. Dziś rzym. kat. Floryana m., gr. kat. Januaria.

Jutro rzym. kat. Piusa V., gr. kat. Fteodora Syk.

Odczyt. W dniu 9 b. m. wygłosi w sali ratuszowej wieczorem o godzinie 6-tej pan Kazimierz Jeżewski autor projektu o krajowej organizacyi opieki nad dziećmi odczyt, w sprawie tworzenia krajowych gniazd rodzinnych dla dzieci bezdomnych.

Po odczycie nastąpi dyskusya nad projektem, w której zabiorą głos także ludzie wybitni w społeczeństwie naszem. Wydział Towarzystwa Opieki nad sierotami we Lwowie, zaprasza na to zebranie wszystkich, dla kogo sprawa opieki nad dziećmi nie jest obojętną.

Ucieczka więźniów. Dwaj więźniowie, Feiwel Zimmermann i Dawid Mehrgrün vel Korkes, odsiadujący karę kilkomiesięcznego więzienia w lwowskim sądzie karnym za kradzież, uciekli, korzystając z tego, że wyprowadzono ich na robotę poza mury więzienne.

Wypadki i katastrofy. *Z Salzburga* donoszą, że profesor uniwersytetu czerniowieckiego, dr. Löwe, który przedsięwziął wycieczkę w góry, zniknął bez śladu. Wysłano ekspedycyę celem poszukiwań, które o tyle są utrudnione, że pada ulewny deszcz.

W Bournemouth (Anglia południowa). Wóz kolei elektrycznej miejskiej spadł ze wzgórza z wysokości 20 stóp, przyczem 7 osób zginęło, 8 zostało zranionych.

Tunel pod kanałem La Manche. Podług przedłożonego swego czasu parlamentowi angielskiemu projektu na wykonanie tunelu podmorskiego cała długość razem z dojazdami w Calais i Dower wynosiłaby 48 kilometrów, z czego 39 kilometrów znajdowałoby się pod morzem. Tunel ma być wykonany podług projektu z dwóch rur o średnicy po 5.50 metrów, a położonych na zwięzłym, wapiennym kamieniu, tworzącym spód kanału, a więc na dobrej podstawie. Koszta są obliczone na 400 milionów franków.

Bezpośrednie połączenie Petersburga z Syberyą. Niedawno jeszcze trzeba było jechać z Petersburga do granicy Syberyi to jest do Czelabińska, przez Moskwę, Rjazań i Ufę, obecnie zaś została wybudowaną koleją z Petersburga przez Wołogdę, Wiatkę, Perm do powyżej wymienionej stacyi. Tą nową linią, około 1.230 kilometrów długą t. j. Petersburg-Wjatka w połączeniu z dawniej istniejącą: Wiatka-Czelabińsk skraca się drogę ze stolicy Rosyi do Syberyi o okrągło 320 kilometrów.

Krwawa statystyka Rosyi. Podług petersburgskich danych urzędowych w pierwszej połowie kwietnia było 21 napadów na urzędników państwowych, z których 10 zabito i 11 zraniono. Na osoby prywatne było 83 napadów, przyczem zabito 51, a

32 zraniono. Większych rabunków dokonano na sumę 17,247 rb. W sklepach monopolowych zrabowano 2,051 rb., podczas mniejszych napadów i rabunków zabrano 12,707 rb. Ogółem przez ten czas zrabowano 32,605 rb.

Pojedynek na kule woskowe. W Londynie odbędą się w lecie r. b. „igrzyska olimpijskie“. Między innemi jest w programie pojedynek na pistolety, który będzie się odbywał (o ile znajdą się amatorzy-sportsmeni) według wszelkich prawideł popojedynkowych, z tą atoli różnicą, że pistolety będą nabite kulami z wosku, które, uderzając o ciało stałe, płaszczą się i rozpraszają w powietrzu, pozostawiając tylko lekkie zabarwienie miejsca, gdzie uderzyły. W ten sposób sekundanci będą mogli łatwo ocenić, kto padł w pojedynku.

Przemycony pies. Hrabina Fabrice z Drezna ma ulobionego pieska. Hrabina musiała wyjechać do Anglii. Przy wylądowaniu w Dovrze urzędnik cłowy zauważył, że hrabina szczupła na twarzy, jest „w sobie“ coś zanadto tęgą. Przy bliższem badaniu wykryto, że pod szatkami jej znajdował się spory woreczek, w którym spoczywał ulubieniec hrabiny. Sprawa poszła pod sąd. Obrońca hrabiny tłómaczył ją nieznajomością ustawy. Skończyło się na zasądzeniu hrabiny na 100 marek grzywny, a psa oddano weterynarzowi pod obserwacyę.

Kultura hajdamacka. Piszą nam z miasta: Do wiązanki bestyalstw hajdamackich proszę przyjąć jeszcze jeden kwiatek uszczknięty w ogrodzie pojezuickim. Stoi tam pomnik Józefa hr. Borkowskiego, na którym dzicz szczepu ukraińskiego od czasu do czasu ryje podpis swojej kultury. Przed kilku laty utrącono pomnikowi nos, obecnie otrzymał cięcie przez prawą brew i oko, prawdopodobnie siekierką hajdamacką, jak wskazuje nato wysokość i kierunek cięcia. Dziwić się tylko wypada ślepocie naszej policyi, pod której bokiem dzieją się podobne szelmostwa, pomnik ów bowiem stoi, niczem niezasłonięty, na przeciw dyrekcyi policyi. Wiadomość ta nie oburzy chyba nikogo, bośmy nadto przywykli do łajdactw hajdamackich, a jest jednym więcej dowodem, że: „świnia wór drze i sama kwiczy“.

Zdemaskowanie szpiega. Z Warszawy nadeszła wiadomość, że Stanisław Brzozowski, znany literat i publicysta o którego czystość i prawość charakteru (!) socyaliści lwowscy stoczyli w swoim czasie zawziętą kampanię, został zdemaskowany jako szpieg, stojący na żołdzie i usługach tajnej policyi rosyjskiej, t. zw. ochrany. Wiadomość tę zamieścił „Czerwony Sztandar“, oficyalny organ socyaldemokracyi w Królestwie, który na podstawie dokumentów stwierdził, że Brzozowski od roku 1905 stał w usługach ochrany, wyrządził ruchowi społecznemu wiele szkody, a w „ochranie“ znany był pod nazwiskiem „Goldberg“. Pokazuje się z tego, jakich to „nieposzlakowanych“ działaczy mają socyaliści w swem łonie, bo i to dodać trzeba, że ów Brzozowski, żyd o nazwisku polskiem, uchodził za chlubę socyal-demokracyi polskiej. Istotnie, chluba nadzwyczajna!

Przewaga kobiet. Parlament szwedzki zajmował się niedawno kwestyą nadania kobietom praw wyborczych, a do dyskusyi zgromadzono interesujący materyał statystyczny. Wynika z niego przedewszystkiem, że gdyby w Szwecyi dano kobietom polityczne prawo wyborcze na tych samych warunkach, co mężczyznom, w takim razie liczba kobiet uprawnionych do głosowania przewyższałaby o 13,3 procent odnośną liczbę mężczyzn. Na wsi nadwyżka ta wynosiłaby 8,3 proc., natomiast w miastach aż 32,2 proc., wobec czego wydaje się wątpliwem, czy w niektórych miastach mężczyzna mógłby wogóle postawić swą kandydaturę, nie mając zapewnionego poparcia wyborczyń. Prawo głosowania w gminie posiada dotąd około 65,000 kobiet, liczba uprawnionych do głosowania przy wyborach do parlamentu wyniosłaby około pół miliona. Zważyć też trzeba, że istniejące ograniczenia ustawowe dotyczyłyby raczej mężczyzn, niż kobiet, gdyż np. wszyscy żołnierze są pozbawieni prawa głosu. Zebrany materyał statystyczny dowodzi również, że tylko bardzo nieznaczny procent kobiet ma sposobność zapoznać się dostatecznie z ustrojem państwowym, prawami i t. p., przygotować się do wypełnienia praw i obowiązków obywatelskich, reszta stałaby się jedynie podatnym, niewłasnowolnym materyałem agitacyi. Wedle ostatniego spisu ludności, jest w Szwecyi 1,362,081 kobiet powyżej lat 25, z których zaledwie 417,193, czyli 30,6 proc., jest głową rodziny lub zarabia samodzielnie na życie. Więcej niż połowę tej sumy składają służące i robotnice, zbyt zajęte walką o byt, by choć w najmniejszej mierze mogły się interesować naprawdę sprawami publicznemi. Tak więc kwestya nadania kobietom szwedzkim praw wyborczych budzi w rozważnych kołach poważne wątpliwości.

Strach.

(Z prawdziwego zdarzenia).

— Teraz na ciebie kolej Dorku! — odezwał się jeden z nas, kiedyśmy zasiedli do zwykłej pogawędki.

Teodor Szmidowicz przeciągał się jak kot na materacach, zmróżył wiecznie śmiejące się, szare oczy i począł:

— Mnie również zdarzyło się być raz w śmiertelnym strachu, ale, że przyszło to nagle, uderzyło jak obuchem i nie stargało mi tak nerwów jak Staszkowi, mogę więc bez większego wzruszenia opowiedzieć wam moją przygodę.

W mieście T., jak wiecie pełniłem służbę urzędnika ruchu, a jak taka służba dobrotliwie na nerwy działa, opowiadać wam nie potrzebuję, boście sami kolejarze.

Otóż jednego dnia w południe pełniłem służbę, podczas gdy matka moja stała opodal na peronie, oczekując na pociąg, mający ją zawieść do Lwowa. Był to czas najgorętszy, gdyż niemal równocześnie zjeżdżały się 3 pociągi z rozmaitych stron, moją zaś rzeczą było nietylko baczyć na prawidłowy ich wjazd, ale nadto na tłumy publiczności, snującej się po torach, cierpiącej na tz. „Bahnfieber“.

Zajechał jeden pociąg, zajcchał i i drugi, a z nich wyroiły śię nowe tłumy pasażerów, dążących na pociąg do Lwowa, który niebawem nadejść. Począłem przy pomocy personalu kolejowego spędzać co rychlej bardziej niecierpliwych z torów, gdy wtem usłyszałem łoskot zbliżającego się oczekiwanego pociągu. Odwróciłem się i oczom moim przedstawił się następujący widok:

Na torze pomiędzy szynami stała stara jakaś żydówka i trzęsąc się jakby zahypnotyzowana, patrzyła na zbliżający się potwór. A pociąg był już o kilkanaście kroków. Krzyknąłem straszliwie, ale spotęgowało to tylko drzenie staruchy — a śmierć była tuż... tuż...

Jednym skokiem byłem przy starej, szarpnąłem ją za ramię, ale ona w dzikiem jakiemś zapamiętaniu poczęła się bronić... Słyszałem koło siebie jakiś szum, pisk, łoskot, ostatniem natężeniem zwaliłem się wraz z nią na ziemię. W tej chwili ziemia podemną zadrgała — i minęła długa... druga chwila... Rozeznałem jakieś oczy wpatrzone we mnie... czyjeś usta poruszały się szybko, ale słów nie słyszałem... potem doszedł mię poszum chóralnych słów i... oprzytomniałem.

Teraz zrozumiałem sytuacyę. Padając przewaliłem się wraz z żydówką poza tor instynktownym skurczem nóg uratowałem je od zmiażdżenia i tak ja, jak i ofiara drżączki kolejowej, byliśmy uratowani. Długo tylko jeszcze słyszałem ten straszny łoskot zbliżającej się śmierci i czułem jakiś niewytłumaczony wstyd i zmieszanie.

— A cóż dyrekcya na to? — zapytał jeden ze słuchaczy.

— Dyrekcya?... wyłaciła mi 100 kor. w dowód uznania.

— A żydówka?

— Żydówka zaskarżyła mię za zniszczenie koronkowej mantylki.

Zapanowało milczenie...

— Teraz, odezwałem się po chwili, ja wam opowiem moja przygodę. Ty, Dorku, ratując żydówkę, byłeś ogarnięty wściekłością czy pasyą, odwagę twoją z użyłeś w fizycznem natężeniu i nie miałeś wprost czasu ogarnąć całego niebezpieczeństwa, a ratując żydówkę, ratowałeś w końcu i siebie, jeśliś się już na ratunek zdecydował.

Ja wobec niebezpieczeństwa byłem bezsilny, a co gorsza nie ja byłem w niebezpieczeństwie.

Jako 12 lub 13-letni chłopiec wybrałem się z młodszym odemnie o 2 lata bratem nad granicę rosyjską w Brodach na spacer. Celem naszym była ostatnia budka strażnika kolejowego, leżąca tuż koło granicy, gdzieśmy się zwykle posilali mlekiem, zbierając jagody i łapiąc węże. Obok tej budki była studnia murowana, a tak głęboka, że samo spojrzenie w nią nabawiało mię drżączki i zawrotu głowy.

Do tej to studni zbliżył się mój brat i czy to że nachylił się więcej, czy też z innego powodu zleciał mu z głowy kapelusz i zniknął w studni. Kapelusz był wart może 50 ct., ale aby wracać bez kapelusza do domu, to nie mogło nam się w głowie pomieścić. Poczęliśmy radzić i uradziliśmy, że brat wsiądzie do wiadra, ja go zaś spuszczę pomału i po danym przezeń znaku wyciągnę z powrotem. Tak też zrobiliśmy: brat wsiadł do wiadra, ja zaś począłem pomału kręcić wał, na którym nawinięta była gruba lina z przytwierdzonem wiadrem.

Z początku szło wszystko dobrze. Odkręciłem już 3/4 liny, gdy w tem wymknęła mi się korba, zafurczała jak wiatrak, mignął mi koniec liny ześlizgującej się z gwoździa, posunął się błyskawicznie po ziemi i zaczepił na wystającej desce otworu studni. Skoczyłem jak piorun, chwyciłem wystający koniec rękami, wpiłem się weń zębami i tak zostałem. Trwało to wieki...

Z głębi studni doszedł mię z począ-

tku głuchy, dudniący krzyk, potem jakiś plusk, potem szarpnięcie, jakieś mlaskanie... coś, co mi zgrzytem w duszę wchodziło, od czego pot na mnie wystąpił. Nie czułem bolu w zaciętych konwulsyjnie zębach, a tylko jakieś łupanie w pulsach. Nie krzyczałem... Bałem się, aby mi z krzykiem sił nie ubyło,.. Ginąłem z wysiłku, alem trzymał... trzymał.... i łkanie tylko jakieś straszne wydymało mi piersi. A siły mię opuszczały.

Zaryłem się obcasami w ziemię, ale czułem że dłużej niewytrzymam. Ręce spocone poczęły mię parzyć, z wygiętego kręgosłupa szedł ogień, oczy zbliżone tuż do obramowania studni mgłą zachodziły, dławiłem się trzymanym w zębach sznurem. Zemdlałem,..

Po przyjściu do siebie zobaczyłem brata, mokrego jak pudel, z kapeluszem na głowie. Wyciągnął go budnik kolejowy, który przyszedł po wodę. Byłem ocalony, ale co skutkiem tego zdarzenia przeszedłem, to utkwiło mi nazawsze w pamięci. Poznałem po raz pierwszy, co to jest strach.

Ach, te telefony!...

Od pewnego czasu znienawidziłem imię Leon, a właściwie zdrobniałą jego formę, i to w skażonej nieco gwarze — Lejosz.

A wszystkiemu winien telefon, mój telefon, oznaczony w księdze abonentów liczbą XXX·51.

Od kilku miesięcy ktoś mnie stale prześladował — jakaś spółka, złożona z mężczyzny i kobiety. Po kilka, a nieraz nawet po kilkanaście razy dziennie wezwany sygnałem do telefonu, po odezwaniu się, słyszałem zapytanie:

— To ty, Lejosz?

Zapytywano na zmianę: raz głos męski, to znów kobiecy, przyczem kobiecy odzywał się częściej. Pytanie to słyszałem o różnych porach, od wczesnego ranka do późnego wieczora, a nawet i w nocy.

Raz, o pierwszej po północy, w pytaniu zaszła pewna zmiana. Głos kobiecy pytał:

— Lejosz, która godzina?

Przez pewien czas przypuszczałem mistyfikacyę, ale przekonałem się, że była to tylko pomyłka — powtarzająca się po kilka, lub kilkanaście razy dziennie.

Przyszło mi do głowy zapytać się, z jakim właściwie numerem ktoś tajemniczy mówić pragnie.

— Z numerem XXX...

Dwie ostatnie cyfry brzmiały bardzo niewyraźnie, coś jak „dżewiędżesząt" jeden.

— A tu jest numer XXX·51 — odparłem.

— No właśnie!

— A pani chce mówić z 91?!

— No, właśnie!

Domyśliłem się, że przyczyną nieporozumienia jest podobieństwo brzmienia 50 i 90, zwłaszcza w złej wymowie. Wytłómaczyłem to nieznajomej damie, później nieznajomemu panu, prosząc zarazem o wyraźne podawanie numeru.

Nic to nie pomogło. Tego samego wieczoru usłyszałem:

— To ty, Lejosz?

Po kilku dniach straciłem cierpliwość. Gdy dzwonek oderwał mnię do roboty na tylko, by usłyszeć: „To ty Lejosz?", zrozpaczony, nie wiedząc co czynię, odparłem głosem ponurym:

— Leon umarł!

Usłyszałem okrzyk przeraźliwy.

— Co?! Nie może być?! Kiedy?!

— Dziesięć minut temu!

Czemprędzej położyłem słuchawkę. Niestety, wpadłem z deszczu pod rynnę.

W parę minut później, gdy telefon zadzwonił, usłyszałem już razem mówiące dwa dłosy, męski i kobiecy, a nawet i trzeci. Mówiono bardzo szybko, bardzo dużo, ale nic nie rozumiałem. Mówiono nie po polsku. Rozróżniałem tylko często powtarzający się wyraz: Lejzor.

Położyłem słuchawkę. Po chwili — telefon dzwoni. Nie odzywam się — dzwonek nie ustaje.

Zdejmuję słuchawkę i kładę na skrzynce. Nareszcie cisza! Biorę się do roboty.

Cisza trwa pięć minut, dziesięć, kwadrans. Nareszcie rozlega się jakby chichot szatański w interpretacyi piekielnego gramofonu. Głos wychodzi z telefonu. Podbiegam, słucham.

— Dlaczego pan zdejmuje słuchawkę? — słyszę strofujący głos telefonistki. — Tak nie wolno robić. Abonenci się dobijają napróżno.

Udaję, że mnie nie ma, że nic nie słyszę. Po chwili odzywa się głos znów z piekła. Nie wytrzymałem. Schwyciłem nóż i przeciąłem wszystkie druty.

Zwycięstwo! Cisza grobowa!

Nie poproszę o naprawę telefonu, przez kilka dni, dopóki cała rodzina i wszyscy znajomi nie upewnią się co do losu Leosia...

m.

Głowa trupa w lesie.

Do ryciny.

W okolicy Budapesztu, w lesie, Katarzyna Tot, zbierając chrust, znalazła głowę trupa kobiecego. Dała natychmiast znać do gminy. Okazało się, że jeszcze w styczniu znaleziono ciało kobiece bez głowy. Obok leżał rewolwer. Obdukcya stwierdziła samobójstwo. Głowę prawdopodobnie odgryzły psy i zawlokły w zarośla.

TELEGRAMY.

Wiedeń. Pogrzeb śp. ministra Peschki, odbył się przy licznym udziale. W pogrzebie wzięli udział prezydent ministrów br. Beck z członkami gabinetu, wspólni ministrowie Burian i Schönaich, mamiestnik, burmistrz, prezydent policyi, prezydent Izby posłów i członkowie Izby panów, deputacye niemieckich korporacyi i stowarzyszeń i liczna publiczność. Zwłoki odprowadzono na dworzec kolei państwowej, skąd prewiezione będą do Absdorf i tam pochowane.

Skon Peschki,

Wiedeń. W kołach parlamentarnych utrzymują, że największe szanse objęcia fotelu ministeryalnego po śp. ministrze Peschce, ma poseł Prade. Gdyby jednak kandydatura ta upadła, to fotel po Peschce obejmie poseł dr. Hanus Hamm, przewodniczący agrarjuszy niemieckich.

Kwestya językowa.

Praga. *Narodni Listy* donoszą, że wykonanie rozporządzeń wydanych przez radcę dworu Rynesza w sprawie używania języka czeskiego w sądach w Czechach wstrzymano aż do powrotu prezydenta apelacyi w Pradze, dra Wessely'ego, bawiącego na kuracyi w Karlsbadzie. Dr. Wessely wraca w tych dniach i obejmie urzędowanie. Sąd obwodowy w Chebie wniósł do ministerstwa sprawiedliwości skargę przeciw rozporządzeniu Rynesza. Ministerstwo dotychczas na skargę tę nie dało odpowiedzi.

Pewnemu adjunktowi w Karlsbadzie, który nie załatwił podania czeskiego, wniesionego w jakiejś sprawie hipotecznej, wytoczono śledztwo dyscyplinarne. Również odroczono do chodzenia dyscyplinarne przeciw radcy sądu Freyerowi w Chebie.

Nowy fundusz antypolski.

Berlin. (Biuro Wolfa). Parlamentowi niemieckiemu przedłożono projekt ustawy o nowym kredycie dodatkowym na rok 1908, który żąda w celu udzielenia nadzwyczajnych, nieodwołalnych dodatków dla średnich urzędników kancelaryjnych, podurzędników, jakoteż podoficerów, zajętych w administracyi wojskowej w Księstwie Poznańskiem i okręgach mieszano-językowych Prus Zachodnich 801.000 marek; dla zajętych zaś w administracyi pocztowych urzędników kancelaryjnych i podurzędników zarządu pocztowego 710.000 marek.

Z Persyi.

Teheran. Z kilku miast, między innemi z Krmii, donoszą, że dnia 23. z. m. Kardowie zniszczyli wiele wsi, wyrżnęli przeszło 2000 ludzi i zrabowali ich mienie ruchome.

Rewolucya w Peru.

Rio de Janeiro. Według nadeszłej depeszy, wybuchła w Peru rewolucya w okręgu Lima. W mieście Limie rewolucyoniści poprzecinali druty elektrycznych przewodów i zawładnęli pociągiem kolejowym. Wysłano przeciw nim wojsko.

Sant Jago de Chile. Ruch rewolucyjny, jaki wybuchł w Limie, stłumiły wojska rządowe. Powstańcy uciekli w głąb kraju. Kilku przewódców schwytano.

Księga biała o Marokku.

Berlin. *Nordd. Allg. Ztg.* ogłasza treść księgi białej o Marokku, która dziś będzie przedłożona parlamentowi Rzeszy. W 14 rozdziałach traktowane tam są wypadki od grudnia 1906 do kwietnia 1908.

Podróżujący cesarz.

Korfu. Po pożegnaniu się ces. Wilhelma z królem greckim jacht Hohenzollern i inne towarzyszące mu okręty wypłynęły na pełne morze. We środę rano cesarstwo przybędą do Poli, a po południu nastąpi dalsza ich podróż do Wiednia.

NADESŁANE.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: IGNACY GŁOWACKI. Z DRUKARNI »GOŃCA POLSKIEGO«, PODWALE 7, pod zarządem ANDRZEJA MASTAIA.